



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

17

Że spotka się ze swym najbliższym sąsiadem, panem Borowieckim, prawie się cieszyła i z całą ufnością nie tylko przyjmowała jego usługi i grzeczności, ale w razie potrzeby wprost o nie prosiła. Jego spokój, równowaga i stały ton przyjaźni udzieliły się i jej w stosunku z nim, i miała do niego takie zaufanie, że często pytała go o radę, czy ma wyjść, jak się ubrać, czy daną rzecz kupić na miejscu, czy też sprowadzić z Krakowa.

Dawniejsze jej życie, na wsi, przy mężu, zdawało się jej ciężkim, bolesnym snem, ciemnicą bez światła i powietrza, z której wyszła na świat jasny, promienny, przepiękny. Usilnie odsuwała od siebie wszelkie wspomnienia domu, o jednej tylko Nince myślała często z rozczuleniem, i chwilami opanowywała ją tęsknota i pragnienie ujrzenia jej.

Gdy jednak, uprzedzając sobie Ninę, w obrazie tym zobaczyła męża, dom, służbę, nawet Ninki urok się zmniejszał i nie chciała jej widzieć za cenę powrotu do obowiązków żony.

Stosownie do przyrzeczenia pisywała do męża raz na tydzień. Pierwszy list napisała na dwóch stronach małego arkusika; drugi na jednej stronie, a dalsze ograniczały się na kartkach korespondencyjnych z widokami, na których zaledwie dało się pomieścić parę zdań, że jest zdrowsza i co słyhać z Ninką i z ciocią.

Natomiast listy męża, z początku były pisane w tonie kronikarskich zapisków, gdzie był, co robił, jakie zdrowie Ninki, ciotki i pewne szczegóły z gospodarstwa domowego i folwarcznego.

Żona odczytywała je, opatrząc w myśli każdy podany szczegół dopiskiem gorczy i żalu do niego.

Stopniowo listy jego stawały się coraz bardziej czule, pełne wspomnień szczęśliwych chwil dla niego, tęsknoty do ujrzenia jej w domu, który stał się dla niego odludną pustką, cmentarzem minionego szczęścia.

Te listy nie tylko ją nudziły, ale sprawiały wielką przykrość: z niechęcią je otwierała i przebiegłszy oczyma, rzuciła do walizy. Uważała je za typowe okazy obłudy i fałszu. Skrzywdził mnie, sponiewierał, oderwał ze wszystkiego, co piękne i czyste, a teraz pod wpływem zmysłowych pragnień, niby to tęskni, oświadcza się z miłością i z uwielbieniem. Uśmiechała się z ironiczną wyższością nabytego doświadczenia, powtarzając w myśli: teraz mnie nie złowisz na czule słowa; teraz nie jestem już głupią dziewczyną, która ci wierzyła i ufała.

I stawały przed nią wszystkie prawdziwe i urojone krzywdy, rosła gorczy, wzrastał żal do męża i normalnie, każdy taki list pani Wanda jeśli nie odchorowała, to chodziła chmurna, przygnębiona i widziała wszystko i wszystkich w czarnych kolorach.

Na te listy odpowiadała tylko w ten sposób, że umieszczała frazes: dziękuję ci za ostatni twój list.

Doznając tak niemiłych wrażeń, a nawet pogorszenia zdrowia tylko po przeczytaniu listu od męża, przysłała do przekonania, że całą jej chorobę spowodował mąż i że jeśli ona chce żyć i być zdrową, musi się z nim rozwieść lub wziąć separację.

Napróżno mąż zaklinał ją w najczulszych

słowach, ażeby odpowiedziała mu listem długim i szczerym, uśmiechała się na to żądanie ironicznie i ze złośliwym zadowoleniem pisała do ciotki obszerny list, dopytując się o wszelkie szczegóły co do zdrowia, zabaw, ubiorów Ninki, i tylko dla przyzwoitości pozdrawiała męża.

Jednego dnia, gdy otrzymała list od męża i swoim zwyczajem z uśmiechem lekceważącym rzuciła nań okiem, wpadły jej w oczy słowa:

„Domyślałem się, że z twoim zdrowiem musi być znacznie gorzej, a Ty przez wrodzoną Ci szlachetność i miłość dla mnie ukrywasz, ażeby mnie nie martwić. Przez dłuższy czas wmawiałem w siebie, że Zakopane Ci służy, ale teraz taki niepokój mnie ogarnął, taki strach zdjął, że Ty ciężko chorujesz, i to sama, w obcym miejscu, że może mnie wzywiesz w gorączce, a nikt Ci wody nie poda, że postanowiłem pojechać do Ciebie. Już byłbym u Ciebie, ale z obawy, że moje nagłe pojawienie się może wpłynęłoby źle na twoje zdrowie, i Ty, tak skłonna do obaw, przypuszczałabyś, że coś okropnego stało się w domu, piszę ten list. Zamów więc pokój dla mnie, o ile można w twoim sąsiedztwie, a na przysły tydzień w środę ujrę nareszcie Ciebie...”

Pani Wanda pobladła, list wypadł jej z ręki, łzy potoczyły się z oczu, usiadła, a gdy pierwsze oburzenie i poryw gniewu spłynęły ze łzami, zaczęła się zastanawiać, co ma teraz począć.

Najpierw błysnęła jej myśl wyjazdu, ucieczki, schronienia się w jakimś nieznanym ustroniu, ale rozumowała dalej, że mąż zacznie jej szukać, da znać policji, żandarmeryi, zrobi się skandal. I coby na to powiedział Borowiecki, pan Jedliński, jaki temat miałyby wszystkie panie do rozmowy, jak byłaby obmawiana i nicowana... nie, wyjazd jest niemożliwy.

Jednak taką samą niemożliwością jest przyjazd męża tutaj. Na to ona nie może pozwolić. Czuje przecież doskonale, że przyjazd jego nie tylko unicestwi dotychczasowe dobre skutki kuracji, ale przyprawi ją o recydywę, która bywa niebezpieczniejsza od samej choroby.

Naturalnie usiadłby przy stole obok niej, rozmawiałby głośno, rubasznie, śmiałyby się z konceptów złośliwych starego Manieckiego, traktowałby ją jako swoją niepodzielną własność i odepchnął od niej wszystkich przez zazdrość niską i brutalną.

I co pomyślałaby o niej Borowiecki, taki subtelny, wytworny, widząc, jakiego ona ma męża, komu oddała swe serce i rękę. On przecież nie wie, że to małżeństwo, ten mąż, jest tragedią jej życia.

Dlaczegoż ona nie spotkała takiego Borowieckiego, gdy była dziewczyną niewinną? Zaczęła snuć marzenia, jak inne, odmienne, rozkoszne byłoby życie z takim, jak Borowiecki.

Wtem spojrzała na zegarek, pora obiadowa już się zbliżała, a ona jeszcze nieubrana, teraz bowiem schodziła na obiady w innej sukni, a przebierała się w inną na kolację lub wycieczkę. Ubierając się obliczała czas, dzieląc ją od przyjazdu męża.

Dziś jest czwartek, zatem sześć dni do przyjazdu męża, list zaś dochodzi na miejsce za trzy dni, ma więc dosyć czasu na obmyślenie go.

Posłyszała dzwonek obiadowy w chwili, gdy stała przed lustrem, starając się nadać swej twa-

rzy wyraz zwykłej uprzejmości i spokoju, co, jak jej się zdawało, osiągnęła.

Gdy jednak zeszła na dół i zobaczyła rozjaśnione i wesole twarze pań i panów, jakkolwiek już wiedziała, że są to miny i ruchy na pokaz więcej, aniżeli odzwierciedlające istotny nastrój, pomyślała nie bez gorczy, że nikomu w tem towarzystwie nie grozi tak wielka przykrość, jak jej, i na wyrazistej jej twarzy osiadł smutek i zniechęcenie.

Pierwszy podszedł do niej pan Borowiecki i powiedział ze współczuciem:

— Spotkała panią jakąś nieprzyjemność... a może dziś czuje się pani gorzej?

— Nic wielkiego, — uśmiechnęła się z przymusem, — to chwilowy nastrój.

Z siłą woli nadawała swej twarzy wyraz uprzejmości i swobody.

Jednak w czasie obiadu ten przyjazd męża zaczął ciążyć nad nią, jak miecz Damoklesa. Nasuwały się jej coraz gorsze, groźniejsze następstwa. Jak grzyby po deszczu wyrastały przeróżne obawy. Te panie, spojrzała na sąsiadki, nie zaniebajają przed mężem robić złośliwych aluzji o jej powodzeniu u mężczyzn, zwłaszcza co do Borowieckiego i Jedlińskiego. Ona wprawdzie niema sobie nic do zarzucenia i nie myśli usprawiedliwiać się z plotkarskich zarzutów, ale on, taki podejrziwy i zazdrosny, napewno zrobi jej scenę, zechce zabrać ją z zakładu, naturalnie to się rozniesie i ona będzie skompromitowana.

Możliwe jest także, że mąż ostro przemówi się z Jedlińskim lub Borowieckim i może przyjdzie do pojedynku, ran, kalectwa, a wszyscy ogłoszą ją jako kokietkę, która spowodowała te nie-szczęścia.

Jeszcze raz powtórzyła w myśli, że przyjazd jego jest niemożliwy, ale w jaki sposób ona go powstrzyma? A jeśli list nie dojdzie na czas? a jeśli zaginie na poczcie?

A gdyby i doszedł, czy on usłucha? I co mu napisać? Jaki powód podać? Jeśli go będzie prosiła o odłożenie przyjazdu, to właśnie rozbudzi jego podejrzenia i przyjedzie. Jeśli zasłoni się chorobą, przyjedzie przez swą głupią troskliwość.

Takie trwogi, takie wątpliwości ją opadły i tak męczyły, że twarz jej mieniła się, uczuwała to gorące poty, znów zimne dreszcze, co zwróciło uwagę nie tylko dwóch panów, ale i pań, które z czułymi minami dopytywały się o jej zdrowie.

Nareszcie skończył się obiad, a zaniepokojona Ryta zbliżyła się i spytała:

— Co ci jest Wandziu?

— Jestem bez humoru, nic więcej, pójdę do siebie i minie.

— O nie! Zostań Wandziu z nami, zabawisz się, rozruszasz, sama mi mówiłaś, że w chwilach rozstroju unikasz samotności.

Pani Wanda nie chcąc dawać pozorów, że jest chora, wprawdzie niechętnie, ale została i obie z Ryką usiadły w zacisznym kąciu salonu. Wkrótce zbliżyli się do nich panowie i wszczęła się zwykła, dość banalna rozmowa, w której pani Wanda prawie nie brała udziału, a pan Jedliński został odwołany. Gdy wyczerpał się temat, po krótkim milczeniu spytała Ryta: